

Roman Michał Lonc
Rakieta

Basen był już wtedy nasz. Stu kilkudziesięciu nieźle odpasionych samców trwało w słońcu, w wodzie i bezczynności i za drutami obozu internowanych. Wraz z przeciwpożarowym basenem wypełnionym gęstą, zieloną wodą, zawłasczyliśmy otaczającą go łąkę, której klawisze bronili słabo, bardziej by uchronić od zdeptania rosnącą na niej trawę, niż z jakichś innych powodów. Dłużej opierał się badylarz z Częstochowy, zmobilizowany na czas wojny ubecki emeryt, opiekujący się obozem z ramienia swej firmy. „Ja te Polskę własnymi rękami...” — chrypiał w tłumie ostatniej potyczki pod płotem odgradzającym łąkę z basenem od obozowego dziedzińca. „To se je teraz chuju odgryż” — usłyszał i odszedł.

Na łące z basenem możliwości zdobyczy wyczerpały się. Dalej było już tylko podwójne ogrodzenie z wieżyczką w rogu, a za nim, wokół obozu, wznosząc się po łagodnych zboczach ku lasom państwowym suszyły się pegeerowskie ugory. Rozłaziliśmy się codzień, po betonie dziedzińca, po wydeptanych trawnikach lub wylegiwali w celach. Kto miał jeszcze skórę opalał się. Trzy razy dziennie w drugim pawilonie chór intonował religijne śpiewy, a majsterkowicze wycinali z puszek po konserwach orzełki z koroną i dłubali przy monstrancji dla prymasa ze złotej blachy po szprotkach. Potrzebę męczeństwa zaspokajał internowany dentysta remontując nasze zepsute na gierkowskiej kiełbasie zęby. Było gorąco i tłoczno.

Dyskusje polityczne nie budziły już dawnych emocji, od czasu gdy sepleniący Józio, spawacz i kontrrewolucjonista, oświadczył: „komunizm to takie ciao, ciao dla Boga jest głównym, a diabła już dawno pselosło”. Umieszczona Józiovym zaklęciem, w bezosobowej luce pomiędzy Ważnymi Postaciami, paskuda, jakby nieco od nas odstąpiła.

Czasami tylko stawaliśmy na dziedzińcu w zwartym szyku, by odśpiewać „nie chcemy komuny, nie chcemy i już”. Niepokoiło to jelenie pasące się nieopodal i buszującego w ich pobliżu lisa. Jelenie podnosiły swe mądre głowy, lis nieruchomiał, ale już po chwili jelenie wracały do trawy, a lis do swoich myszy. Dyżurni klawisze kiwali głowami do taktu i wtórowali nam cichym mruczando.

Obozowe psy, przywiezione tu na rok przed nami, nie szczekały nigdy. Wiedziały już, że minęły czasy dobrego wojaka z Pragi, kiedy to ich przodkowie z galicyjskiej wioski, zbudzeni przez patrol budziejowickiego pułku piechoty, mogli zaalarmować cały kraj, od Wisły do Zbrucza, wołając w noc: „... idą ludzie w mundurach... pilnujcie kurników przed złodziejem... strzeżcie córek od rzeźączki...”. Wiedziały, że psia łączność jest tu od lat zerwana.

Bo psu jest potrzebna w tych stronach cerkiew i cmentarz, potrzebne mu są sięgające zalesionych szczytów plonujące pola, a przede wszystkim stojące wzdłuż drogi nad potokiem checze o ciemnych, zdobnych w jasne pasy ścianach, bielonych węglach i malowanych żółtą gliną wrotach do boisk. Rozbiegły się dawno ośleple od dymu łemkowskie psy. Wypaliły się checze. Cerkwiom dano wybór pomiędzy próchnem a odstępstwem. Skazano na śmierć cmentarze. Ciszy pilnuje zaczajony na zboczach Chryszczatej diabeł w połowej rogatywce.

Co dzień rano po otwarciu pawilonów budził nas przeciągły wrzask: „siałkókaa”. To ubrany w kuse slipy Jacek kroczył dziedzińcem i podrzucając zachęcająco piłkę, darł się w okna cel, za którymi odsypialiśmy nocny nasłuch radiowy lub bridża. Rzadko udawało mu się o tej porze zebrać chętnych, więc odrzucając piłkę rozpoczynał zdrowotny trucht po ścieżkach okalających pawilony.

Jacek był redaktorem związkowego pisma, które zrobiło karierę przedrukowując podobiznę „miszki”, co zgodnie z siedemnastowieczną tradycją, kiedy to moskiewskie poselstwo żądało od Rzeczypospolitej ukarania „na gardle” śmiałków nazywających carskiego tatę „Miszka”, wywołało protest ambasady, śledztwo prokuratury i arcybiskupie napomnienia. W obozie miłość Jacka do zwierząt nie mogła długo znaleźć ujścia. Od jeleni i lisa oddzielały go druty, a drożdży, które w zakamarkach celi karmił cukrem, pogłaskać nie mógł. Co jakiś czas wypijał więc cukier z drożdżami i mętnym miłosnym spojrzeniem śledził szybujące wysoko myszology.

Pewnego rana znalazł coś jednak. Przerwał truchtanie i zagapił się w wysychającą za oknem łazienki kałużę. Potem przyciągnął walający się przy stołówce gumowy wąż i przymocowawszy go do kranu długo lał do kałuży wodę, a w kałuży kotłowały się kijanki, żabie potomstwo, które wykluło się z jajek rozrzuconych przez matki po obfitych do niedawna w wodę obozowych bajorach. W upałach bajora wysychały, kijanki kotłowały się w mule i tłoku, wreszcie nieruchomiały pod wypaloną słońcem skorupą zeschniętego błota. Od tego dnia Jacek pilnie zajął się obozowymi bagienkami. Wędrował od jednego do drugiego i za pomocą foliowego woreczka wyławiał z nich roje robactwa, które prznosił do swojej centralnej sadzawki. Słońce paliło, bagienka i sadzawki wysychały, więc w końcu połowy i uzupełnianie wody zajmowało mu co dzień wiele godzin.

*

Był wściekły. Na zmarłego dziadka, na matkę, na siebie, że się zgodził, a najbardziej na siostrę, siedzącą teraz za nim w głębi szoferki. Jechali już z przerwami całą dobę. Z Kołobrzegu wyjechali przed północą, a teraz też była prawie północ. Zerknął na pomocnika wpatzonego nieruchomo w drogę oświetloną reflektorami ciężarówka. „Jeśli się wygada, choćby po pijanemu... proces... może za to nie zamykają... ale z roboty wywalą na pewno, robić coś takiego chłodnią z rybami... najgorsze, że wszyscy wtedy się dowiedzą...”. Pamiętał strach żony, że teściowie się dowiedzą kim jest. „Wszystko przez małą — myślał o siostrze — matka może by się nie przejęła bredzeniem starego, ale to ona ją nakręciła. To głupota słuchać mamlania osiemdziesięcioletniego starucha w przedśmiertnej malignie. Może gdyby zwrócić się o urzędowe zezwolenie, zgodziliby się? Ale chyba nie. A już najtrudniej byłoby tu.”

Chciał kiedyś tu wrócić. Zaczął pracować w lesie, ale już w kadrach, baba, której pokazał dowód, długo wpatrywała się w dokument, jakby chciała coś jeszcze oprócz orzełka w znakach wodnych wypatrzeć. Potem oberwał w knajpie butelką w tył głowy. Miał kolegium. Zapłacił. Wreszcie zaczął go kiedyś komendant miejscowej milicji i wymawiając z przyciskiem jego nazwisko, poradził: „Wy obywatelu lepiej wracajcie do swoich”. Wyjechał, ożenił się, ma dzieci, a teraz ta historia zorganizowana przez najmłodszą siostrę,

ulubienicę dziadka, która przekleństwami, płaczem, przywoływaniem wszystkiego co święte wymusiła na rodzinie i na nim to wariactwo.

Na dodatek, kiedy już się zgodził i wszystko zorganizował, kiedy miał kartę drogową na przewóz ryb w Bieszczady, umówionego i przekupionego pomocnika, uparła się, że ona też pojedzie. I jedzie, bez zezwolenia na pobyt w strefie granicznej, którego nie było już czasu załatwić.

Patrol zauważył w ostatniej chwili. Czerwona latarka, dwóch żołnierzy i oficer. Hamował, chłodnia tocząc się po pochyłości długo nie chciała się zatrzymać.

— Zatrzymywać się wam nie chce — mówił, salutując, porucznik.

— No bo tak nagle...

— WOP, kontrola dokumentów — przerwał mu. — Ryby wieziecie. Dobrze wiedzieć. Przepustki są?

Podał oficerowi swoje i pomocnika dowody wraz z przepustkami.

Światła stopu są. Hamulce słabe — marudził porucznik.

„Ryb mu się zachciało”. — Przeraził się na myśl o otwieraniu chłodni.

— A to co? — wopista zauważył wreszcie dziewczynę. — Przepustki nie ma? Pojedzie pani z nami na strażnicę. Chyba... Chyba obejrzymy ryby, może ulotki z wybrzeża wieziecie?

Wysiadł. Miał nadzieję, że porucznik weźmie co jego bez oglądania całego ładunku.

Kiedy szedł przerażony w tył wozu, oślepiające światło wydobyło z ciemności otaczające ich wzgórze. Zza niewielkiej pochyłości, na prawo od drogi wylatywała rakietka.

*

Józia spawacza poranne wrzaski Jacka nie budziły nigdy. Wylaził ze swej celi w południe i dopiero po długim cuceniu się kawą w zaprzyjaźnionych celach wtapiał się w obozową egzystencję. Rozległość naszej suwerenności od płotu do płotu i spolegliwość klawiszy przyprawiała go o chroniczną chandrę. Nocami więc snuł w dobranym gronie rozważania jakby tu podpalić wysuszoną dookoła obozu trawę lub jak uruchomić system alarmowy. Można było dokonać wiele — otworzyć wszystkie zamki, wysadzić za pomocą karbidu wrzuconego do kanału cały dziedziniec i pół pawilonu, albo zaprawić środkami przeczyszczającymi żarcie w stołówce, z której korzystali klawisze z rodzinami, psy i my, tak, że ... „ze się wsycy poslamy”. Stale jednak działaniom jego dywersyjnej komórki coś stawało na przeszkodzie. Znajomi nie dowieźli karbidu, wypatrzona syrena alarmowa okazała się po uruchomieniu wentylatorem, ogólna sraczką wobec zapowiadanej od miesięcy głodówki nie wchodziła w grę.

Nie mieli szczęścia od dawna. Już wiosną, w czasie transportu ze Śląska, próbowali daremnie w jakimś małopolskim miasteczku obalić socjalizm. Wspomagany przez przyjaciół Józio na tyle poszerzył wentylacyjny otwór w wiozącej ich suce, że gdy zatrzymali się na kolejnym skrzyżowaniu, wśród wracającego z roboty tłumu, mógł wysunąć na zewnątrz głowę i zawołać: „Jesteśmy z Siolidalności. Włona skona”. No i co? pytali po chwili pasażerowie suki. Cofający się od dziury Józio lakonicznie zameldował: „Spieldolili”.

Także w obozie, działania józiowej grupy natrafiały ostatnio na opór ze strony innej grupy, która robiła to samo, ale inaczej. Józiowi adwersarze woleli redagować listy, a to do „wrony”: „pogódźcie się z nami, bo jak nie, to...”, to do biskupów: „Pogódźcie nas z czerwonym, bo jak nie, to...”. Język tych listów starannie unikał józiowych wulgaryzmów. Opór przeciwko akcjom czynnym przybrał zwłaszcza na sile gdy Józio robiąc podkop przebił wypełniony gównem przewód kanalizacyjny, którego w żaden sposób nie dało się już w pełni uszczelnić. Aby więc zrealizować swój ostatni pomysł, sięgnął do wszystkich środków perswazji, strasząc na koniec w razie nieposłuszeństwa, wysokich funkcjonariuszy związkowych rozliczeniem przez Pełnomocnika TKK na Obozy Polski Południowej, z którym pozostawał w telepatycznym kontakcie. Pomogłem mu pisząc lewą ręką krótką notatkę: „Okaziciel określi czas i sposób realizacji. Pozdrawiam. Trzymajcie się. Zbyszek”.

Wreszcie dopiął swego. Pomysł polegał na tym, by wyjść z pawilonów na dziedziniec i jak zwykle pośpiewać. Aby w sprawie było trochę józiowego sensu należało to zrobić wtedy, kiedy byliśmy zamknięci, to znaczy nocą, a już najlepiej o północy, nie otwierając kraty wytrychem, co nie stanowiło żadnego problemu. „Zacniemy się dobijać do kraty, a w tym czasie długa głupa...” „A jeśli otworzą?” „Nie otwożą, zabije się zamek kołkiem.”

W wyznaczoną północ cały pawilon za wyjątkiem nielicznych, którzy twierdzili, że akcja ta osłabia nasze siły przed sierpniowym powstaniem, zaatakował talerzami i stołkami wyjściową kratę. Kto nie mógł się dopchnąć wrzeszczał „czerwone pająki”, „junta juje”, „reżim precz” lub beczał „esbee”. Jakiś trzydziestokilkuletni kombatant wołał: „nie ma chleba bez wolności”. Zagłuszyły go krety ze Śląska skandując: „wy na służ-bie, a Ka-Pe-eN wam żony jebie”. Z klawiszówki wylazł zaspany kapral. Okrzyki nie jego dotyczyły, a czerwonych, do których nie należał, na co miał dowód w postaci mamusinego medalika noszonego pod mundurową bluzą. Wymruczał więc podchodząc do kraty: „Panowie tylko na dziedziniec. Otwarliście sobie sami, sami, pamiętajcie”. I zaczął grzebać kluczem przy zamku. Na widok kołka zbaraniał i poszedł zadzwonić do oficera dyżurnego.

W tym czasie Józio i jego dywersanci próbowali za pomocą skomplikowanego systemu dźwigni wyważyć kratę w świetlicy. „Laś, dwa, tsy” — coś trzasnęło, Józio dupskiem wyrznął w parkiet. Krata nienaruszona tkwiła w swoim miejscu. „Flotelką kulwe” — zawołał, zrywając się z podłogi. Rozpędzili się przez całą szerokość świetlicy i krata wraz z froterką wyleciała na trawnik wprost pod nogi porucznika O., oficera dyżurnego, rudobrodego kurdupła, który lubił dla zrekompensowania swego wzrostu obnosić się po obozie z alarmową raketnicą. Wywalenie kraty nie wzburzyło go szczególnie. Przeżył w obozie niejedno. Nie przestraszył go tłum wychodzący przez okno. Ruszyło go sumienie. Porucznik O. handlował z internowanymi wódką, zdzierając przy tym niemiłosiernie a na dziedzińcu było ciemno. „Dostanę po ryju i nikt nie dojdzie od kogo” — pomyślał i nie zastanawiając się dłużej sięgnął po raketnicę.

*

Oficer bez słowa wcisnął mu do ręki dowód siostry i biegiem ruszył pod górę w stronę stojącego na polnej ścieżce łazika. Żołnierze popędzili za nim. Po chwili łazik zniknął za wbiegającym w las zakrętem drogi. Gdy po chwili wgramolił się do szoferki, zanim zatrzasnął

drzwi, dobiegł go zza wzniesienia, chór męskich głosów: „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród...”. „Popili się na strażnicy i strzelają” — domyślił się.

*

Na zarosłym wysokim zielskim cmentarzu ona była najważniejsza. Szybko, świecąc latarką wśród traw i spróchniałych resztek krzyży znalazła miejsce. Popędzała ich, gdy pocili się kopiąc w gliniastej, ciężkiej ziemi. To ona sprawdzała czy dół jest już dostatecznie głęboki. Potem gdy wywlekli z ciężarówki dziadkową trumnę i nieśli w stronę wykopanego dołu, szła za nimi mrucząc modlitwy w domowym języku, w którym on bał się odezwać przy żonie do swych dzieci, w mowie, w której od lat milczał odkąd miał swój dom, swoją pracę, swoje życie. Na koniec przykryła kopiec świeżej ziemi nazrywaną trawą i gałązkami tak, aby nikt go nie wypatrzył na martwym cmentarzu.

Zdążyli odjechać przed świtem. Gdy po wyładowaniu ciężarówki zasypiali w hotelu, poskarżyła się: „ale naszej wsi to nie zobaczyłam”.

*

Była „Rota” i „Warszawianka”, „Zielona wrona” i coś o „mieczu, który siecze kraj”. Potem trzy razy „So—li—dar—ność”. Częstochowski badylarz błyskał lampą służbowego aparatu fotograficznego. Jedni wyciągali w jego stronę rozcapierzone palce, inni demonstrowali sprawne zginanie się stawu łokciowego. Reflektory z wieżyczek oświetlały teren i wzmocnioną erkaemami tyralierę mokrych po pas od rosy wopistów otaczających obóz. Potem przez okno, zaklinowanego zamka nie sposób było otworzyć, wróciliśmy do pawilonu. Na opustoszałym dziedzińcu oficer WOP-u wyzywał od ostatnich porucznika O., a ubol przewiesiwszy przez ramię aparat przysłuchiwał się temu obgryzając paznokcie.

Rano nie doczekałem się pod kratą na porucznika z umówioną połówką. Wściekły, jak sam diabeł z Chryszczatej, który oszukany tej nocy kłął w swej kryjówce rakiety i wszystko inne co czerwone, wychodzę na zimne jeszcze powietrze. Jacek jest już nad swoją sadzawką. Przystaję przy nim i patrzymy na kłębiące się w niej paskudztwo. Stłoczone w wielopiętrowe rojowisko kijanki to stoją nieruchomo w wodzie, to rzucają się stadami w różne strony i wtedy wydaje się przez chwilę że sadzawka wykipi, ale zaraz potem nieruchomieją wśród jej wyschniętych brzegów. Tylko ich ogonki drgają bez przerwy. Wołają coś do nas... modlą się do żabiego boga...

Otrząsam się, nie wiem z zimna czy wstrętu i odchodzę. Jacek z mającą go usprawiedliwić ironią mruczy: „im chodzi o życie.”